

ogień oczyszcza! ręce mam pokrwawione, stopy przedziurawione, włosy splonęły mi w ogniu! idę naprzód! ludzkość idzie naprzód! Śmiałeś się. Wtedy wyrzuciłem cię z łóżka i krzyknąłem: — chodź! Były dzwony, ogień buchał z rozoraną ziemi. Stałem na barykadzie pohągni, otoczony tłumem towarzyszy, krzycałem: — naprzód! naprzód! widział! A tyś patrzył; kiwałś głową i bezsensownie mówiłeś: — niech żyje prez. Wtedy krzyknąłem: — nie profanuj! Wtedy ukazała się naga kobieta i pokazała mi brzuch. To były obrzydliwe ruchy. Krzyknąłem do tłumy: — czy ją widzicie? Odpowiedzieli: nie, nie widzimy jej! Krzyknąłem: — nie widzicie jej brzucha? Odpowiedzieli: — nie, nie widzimy jej wcale! Dzwony były ogłuszające. Tłum zakolysał się zwolna, od lewa na prawo, z prawa na lewo — don — don — don jak dzwon wielki, mosiężny i rudy w świetle ognia, wielki dzwon pokryty plaskorzeźbami przedstawiającymi tłum twarzy ludzkich — sto masek tragicznych o pustych oczach, estetyk ustach; od lewa na prawo, powoli — don — don — don; a sercem dzwonu uderzającym boleśnie w chłodne ściany, a sercem dzwonu — ja jestem. To był zły sen.

Spytałem go: — czy często w snach widzisz kobiety?

Wtedy Franciszek zamknął oczy i zbladł. Powoli, krokiem lunatyka, podszedł do stołu i, namacawszy ręką wazonik, wyjął zeń ponurą cienką i ostrą jak nóż. Bład, o zamkniętych oczach, wbił sobie ta nóż w serce. I Franciszek zaraz zniknął, rozwiął się w powietrzu. Przyszedł do mnie dopiero po tygodniu.

Pamiętam, tego dnia, w godzinę po zniknięciu Franciszka, odwiedził mnie Michał. Powiedział cicho: — wysoko mieszkasz;

sześć piętér a winda popsuta; zmachałem się. Wiesz, wyglądasz zdrowiej. Prawda? Jesteś zdrowszy.

Michał — to najmłodszy z moich przyjaciół; ma siedemnaście lat. Twierdzi, iż lekarze go zbadałi i orzekli że za rok umrze, że jest bardzo chory. Mówi również że wcale się nie martwi; że śmierć nie jest strasna, tylko ludzie są śmiešní. Wierzę mu, nie podobna mu nie wierzyć. Michał jest malarzem; uwa jego pejzaże wiszą na ścianie przede mną; jest tak wrażliwy na koory, że się myć nie może: mydłem koloru fioletowego. Nie zwierza mi się nigdy; nie jest chaotyczny jak Adam, nie opowiada mi snów jak Franciszek. Nie jest jak Adam pozabawiony woli; trudno bowiem Michała kojarzyć z wolą: to nie jego płaszczyzna. Nie marzy o czystości i nie jest we władzy złych duchów jak Franciszek; to nie jego droga; żyje w świecie posłusznych kubieków, które jeżeli są śmiešne, to — z dobrej woli. Powiedział mi kiedyś: — Nie opowiadam ci nigdy o tym, czy jestem szczęśliwy. Nie sądzę, że cię nie Kocham. Ale myślę, byłoby nietaktowne, gdybym cię miał w jakikolwiek sposób wzruszyć. Przecież wzruszać kogoś, to po prostu nietakt. — Innym razem powiedział mi: — Wiesz, myślę, że taki — to jest zjawisko metafizyczne. Kiedy byłem mały, kiedy miałem noże pięć lat, bawiłem się z dziećmi na podwórzu. Stróż też kamienicy, to był zły człowiek. Wypełzał nas na ulicę, bil paskiem. Pewnego razu, pamiętam, zagonił nas na jakieś schody. Słyszmy niedołężnie w górę po schodach, byliśmy bardzo zaspany. Na czwartym pięttrze wyjrzelśmy przez okno. W dole stał straszny stróż i groził nam pięścią. Dzieci zaczęły krzyknąć: stróżu! stróżu! Pamiętam, bardzo się wtedy obrzydłem; powiedziałem im żeby zamilkły. — Cicho! — powiedział-

lem, — przecież stróż wcale nie wie kim jeste. Stróż myśli, że nie jest stróżem. Jak będziecie krzyknąć „stróż”, to mu się zrobi strasznie, bo nie będzie wiedział co to znaczy.

Tego więc dnia, w godzinę po zniknięciu Franciszka, przyszedł do mnie Michał. Był zdyszany jak są zwykłe, gdy jest zmęczony, nos mu się zaostrzył i pozioleniał. Usiadł przy stole i spojrzal na wazonik. Zdziwił się: — jakto, nie masz tu żadnych kwiatów? Zajrzal do środka: — cóż to? na dnie jest popiół.

Odpowiedziałem niewyraźnie: — popiół. Papierosy Adama, Płomień Franciszka.

Nie zna ich, ale nie pyta. Wyjmuję z kieszeni owinięte w bibułkę trzy kwiaty. wkłada je do wazonu i mówi z uśmiechem: — niechże więc teraz będą narcyzy Michała; już nie pachną, ale pięknie się nazywają.

— Dziękuję — mówię z wdzięcznością — A jak tam twoje marionetki?

— O! — powiedział Michał — dziś zjawiała się śliczna taneczka. Trzy dni pracowałem, a dziś dopiero tęchłem w nią duszę. Kocham ją. Jeszcze dziś wieczór napiszę do niej list, to będą oświadczenia.

Przerwywał mu ze śmiechem: — Nie wierni! To już chyba twoja piętnasta miłość!

— Widzisz — odrzekł zakłopotany — nigdy jeszcze na list nie otrzymałem odpowiedzi. Marionetki niechętnie odpowiadają na listy. A pomyśl: ktoś by mógł odczytać list kukielki? Przecież one każde zdanie rozpoznają jak kluczem wiolinowym. Bo, wiesz — szepnął uśmiechnięty — ich listy to muzyka.

Tego dnia wieczorem przyszła do domu moja żona, przyniosła z sobą kolację, po-

deszła do stolika i kładąc chleb obok wazonu spytała:

— Skąd te narcyzy?

— Przyniosła mi je — odpowiedziałem — Maciejowa.

— Maciejowa? patrzcie, patrzcie...

Sklamalem, nie chcę bowiem aby była zazdrośna. Żona nie zna zresztą moich przyjaciół; po co ją martwić. Musiałbym jej opisać każdego z nich; czy jest przystöjny; czy ma ładne zęby; i jakie ma ręce. A oni są moi. Wymyśliłem ich, gdy godzinami patrzyłem przez okno na martwy, i mimo to co dzień inny, błazny krajobraz. Bo z szóstego piętra widzę tylko dachy.

(— po deszczu — simo i czarno i czerwieni wielkiego komina, dachy, dach nad dachem, ciężkie mokre płaszczyzny piętrzące się amfiteatralnie ku chmurom jak wielkie schody, olbrzyma tu trzeba, olbrzym po takich chodzą, pomyśleć: jakież loskot przerażający, jakie uda potężne, stopy ogromne, po dachach w górę, krok, skok, — bach! — jak dzwęczą po każdym kroku wygięte i wkleśnięte blachy!

— kiedy deszcz — jak ponuro dachy się ustawily: każdy połączony strunami deszczu ze stojącą nisko nad nim chmurą, dach i chmura, dach i chmura, i rozedrgane między dachami i chmurami grube struny deszczu, dachy i chmury jak wysokie harfy, gdzie spojrzę: harfa gra przejmująco, widzę mojego olbrzyma z odchyłoną w tył głową, grającego to na jednej to na drugiej, z rozdętymi nozdrzami i pierśnią szeroko wystawioną na wicher tak wielkie, że ich ludzkie oko nie dojrzy; gra to na jednej to na drugiej, na dziesięciu, na stu harfach z deszczu i blachy gra jednocześnie, jak mocno szarpie długimi palcami, muzyko!...)

A ten olbrzym to mój czwarty przyjaciel.

LEON MACHTINGER

IGNACY FIK

GRZECH ANIELSTWA

NA PRZYKŁADZIE CZESŁAWA MIŁOSZA

O Miłoszu trudno jest pisać. Czy z powodu głębi wypowiedzi, fragmentaryczności stylu, terminologii, tematu? Nie! powód jest prostszy: z powodu niewiarygodnej niekonsekwencji. Omówić jeden artykuł, polemizować z nim, wyrwać kilka zdań — pochwalić je lub ośmieszyć — robota łatwa. Ale spróbować sformułować definicję ważną przynajmniej na pół roku, scharakteryzować stanowisko w określonej sprawie, wyprowadzić sumienny sąd?

Skąd ten brak koordynacji? Z nieuwagi pisarza, z niedojrzałości, z bogactwa indywidualności czy ze snobistycznej przekory? Sam Miłosz daje własną hipotezę: z ustawicznej i przyspieszonej ewolucji. Od marca do czerwca potrafiłem przejść we własną antytezę! Nam nasuwają się wprawdzie inne wersje tej kameleonowej zmienności, ale spróbujmy przyjąć tę generalizującą interpretację. Tym niemniej pozostanie nam odkryć istotną dominantę tych przemian, sygnalizowanych *urbi et orbi* donośnymi manifestami.

W poszukiwaniu wspólnego genetycznego mianownika dla różnych faz Miłoszowskich nie trafiamy na tezy i przekonania, ale na kompleksy. Każdy kompleks ujawnia się w coraz to nowych maskach. Czytać go można w tych właśnie różnorodnych mistyfikacjach. Tak też jest u Miłosza, a można by go nazwać (poddaje ten termin sam Miłosz) kompleksem anielstwa. Anielstwa w wszystkich postaciach: anielstwa upadłego, stróżującego, sublimowanego.

Miłosz należy do środowiska pisarzy, którzy w ogóle lubią uprawiać demonologię. Mają całą szafę z kostiumami demurów. Złych i dobrych, patetycznych i groteskowych, szalonych i naiwnych. Najbliższy Miłoszowi Zagórski bywa zwykle szatanem, Miłosza kusi odmianna aniola. Idzie ku niemu etapami: poeta — człowiek osobobny i skłócony ze światem — geniusz — aniol — i... W perspektywie zamierzona jest dalsza ewolucja: przejście na świętego, proroka czy mesjasza. Rodowodem tego dojrzenia, o ile dojdzie ono do szóstego dołu finału, zajmą się kiedyś freudyści; nam wystarczy tylko stwierdzić, że jest to ewolucja czysto indywidualna, chociaż Miłosz przedstawił ją pragnie w kategoriach obiektywnych, jako wniosek trzech przesłanek: a) powołania poety, b) reprezentacji pokolenia, c) światopoglądu religijnego. Trzy mity i trzy — złudzenia. Spróbujmy sprawę Miłosza przedstawić w ramach tych trzech aspektów.

Według Miłosza, życie prawdziwego poety podlega pewnej dialektyce rozwojowej. Wyprowadzić się mianowicie dadzą trzy

epoki: 1) dzieciństwa i pierwszej młodości, która „nie poza sobą widzieć nie raczy, widzieć nie chce, bo karmi się własnymi zasobami i jej smutek jest tylko obawą o swoje istnienie”, 2) zejścia na padół i 3) powrotnego cofnięcia się w siebie, by postępkami swoje ważyć w samotności. Podział ten (całkiem możliwy do uzasadnienia w ramach psychologii Miłosza) w intencji autora nie ma być jednak wyrazem pewnych procesów życiowych, ale konstrukcją wartościowania metafizycznego. W tej perspek-

tywie etap ostatni jest osiągnięciem pewnej przyrodzonej poezji przystani, gdy oba okresy poprzednie były błędzeniem, przeczeniem i szukaniem. Toteż rodzi się postulat jak najszybszego zlikwidowania faz pierwszych, by jak najszybciej dobieć do ziemi obiecanej. Miłosz nie ma jeszcze 30 lat, ale szczyty się „umiejtnością szybszego przechodzenia etapów rozwoju, na których mól również przebywają długo”. Ta umiejtność upoważnia go w oczach własnych do przekonania o „przodowaniu, wy-

nikajacym z ufnoci w dar zdzierania zasłon”.

Koncepcja trzech epok poety charakteru metafizycznego nabiera jeszcze przez wydedukowanie ich z praw filogenetycznych. Są one obrazem historiozoficznych okresów ludzkości. Pierwszy z nich — pogodnego dzieciństwa, bogów i raję należy do przeszłości (część radosna), epoka druga cierpienia i krzywd jest udziałem naszej terażniejszości (część bolesna), trzecia wreszcie staje się przedmiotem utopijnych wizji, teskn i prorocet przyszłości (część chwalebna). Poeta tym się różni od innych śmiertelników, że umie już dziś stać się obywateltem tej trzeciej epoki. Z umiejtności przyjęcia jej obowiązków wynika najistotniejsza misja poety. Stąd „bez wizjonerstwa i odrobiny daru prorocetwa nie ośmielacie się nazywać siebie poetami”. Stąd też bierze się w manifestach ton wysyłającego się Konrada. Ton z góry, ton obawieny, insynuacji i potępienia. Ton dla polemisty nieznośny, denerwujący, niemożliwy do podtrzymania.

Nie jest ta koncepcja rewelacja. Jest odgrzewaniem przekonani romantyków, zakładających w pocie inny kaliber człowieczeństwa. Człowieczeństwa najwyższej rangi, bo spokrewnione go bóstwem i obdarzające go nieśmiertelnością, jedynie dla niego zarezerwowana. W pierwszym zdaniu swego *Żejścia na ziemię* przypomina Miłosz momenty, „kiedy bóstwo przybiera postać ludzką”. Apokaliptyczny tytuł nie jest jakąż przenośnią, jest określeniem pewnego faktycznego zdarzenia, jakie odbywa się w czasie tej transfiguracji. Sam Miłosz oczywiście także pozuje na takiego mesjasza i w wyrazach pełnych elegijnego patosu opowiada nam o swym wziemnowstąpieniu. „Z niechęcią, z uporem schodziłem na ziemię krzywdy” — zaczyna spowiedź o tragicznych perypetiach. Przerzą nas: „byłem ścierwem, ożywionym na chwilę, mającym zapasę z powrotem w odmet niebyt”. Na szczęście zdolał się otrząsnąć z koszmarnych przygód i osiągnąć „czystość osobobnienia”. Powrócił do nieba.

Opinia Miłosza o dzikim kraju ludzi jest w stylu hipermodernistycznym. Zewsząd czyhały „ich oczy nieprzełicone, zapowiadające mord, gwałcenie, kłamstwo, okrucieństwo”. Okropne zwłaszcza były pląze: „cała pokraczność i cała piękność ciał, potworne narośla, włości, wydercia i bliski łapczywych pożądań, grube igrzaski, macania się, dotyki, krzącania dokola samców i samiec, kończące się w hotelikowych pensjonatach chrapliwym odgłosami miłosnych szpawów”. Wrażliwy młodzieniec z „odrazą przestępował próg ich domostw, w kwaś-

MARIA MORSTIN-GÓRSKA

CUDA

*Nie chcę oglądać cudów, uzdrowień chromych i ślepych,
ni uczt gdzie mnożą się dary —
dla mej radości i wiary
wystarcza samo życie, jego uspaniałość i przepych
i wiosna, która ziemię co roku z niemocy leczy:
wszak dla moich żenic człowieka
nie jest mniej dziwny ranka wstającego miraż,
niżli światło budzące z snu córkę Jaira...
Wszak przed oczyma moimi
kwiat się roziewa i plemi,
chleb i ryba się mnożą w nowych pokoleniach szeregi...
Nie płaczę żem nie mogła, w uczniów orszaku wybranym,
czerpać wina radości na godach weselnych z Kany,
bo jestem przecież stągnięta nalana po same brzegi
najczystszym cudem Przemiany —
bo woda, sól i metal spalają się w moim cieple,
w naczyniu tem osobliwym,
na strugi krwi szkarłatnej, jak wino pięknej i żywej
a krew się w zwojach mózgu, w czaszki sklepionym kościele
w świętem misterium przemienia
na myśl wnikliwą, lotną i na fontanny natchnienia,
które mi w niebo bije, które mi Boga dosięgam
aż w Jego gwieździście dali.*

*I miast nie potrzebujesz, o Stwórcu, przede mną palić,
w błyskawic zjawiać się wstęgach,
ni krwią napelnić wód rzeki,
by serce me poznało, że jestem tylko człowiekiem,
co musi woli Twej słuchać
przed mocą Twoją uniożon,
na przecinających się liniach materji i ducha
rozpięty niby na Krzyżu.*

nym zapachu kapusty, stęchłej strawy, oparń dymu i potu". Toteż nie szczędzi Miłosz przykrych słów pod adresem „niekiczności poddańczej tłumy”, „przymiemnej mnogości”, „bydłych wieczorów”. „tworzy nie zawierających nic prócz elementarnych zwierzęcych popędów”, „stada wiedzidycznych” itp.

Nie dziwi nas w tej sytuacji skala uczuć, jakimi reagował poeta w czasie swej dantejskiej wędrówki. Zaczęło się od niezdrowej ciekawości. Wywołała ona mogła nieobliczalny skutki, grożące nie tylko utratą niewinności na skutek zakusów „golych dziewcząt wszystkich ras”, ale nawet także nieśmiertelności. Zdenerwowany i oszołomiony poeta gotów był bowiem nie tylko do uczuć — litości, ale w ogóle skłonny był upodobnić się do tłumy! Wrodzonej boskości zagroził laicki humanitaryzm! Poeta o mało nie zaczął dążyć do — obiektywizmu, do pogardy dla własnej głębi, do skucia się narzuconymi sobie dyscyplinami! Rychoło się jednak opanował. Ponieważ nie miał usposobienia „tyrana, dla którego patrzenie się na trudy i zabawy ludzkości wycinać i wypalanej surowością terrorów staje się ulubioną rozrywką” — poprzestął na ironii i złej litości, bezpłodnej i kłamliwej. Dziś oczywiście wyżył się i tej słabości i umie „przez legowiska, domy zabawy bez polubiania”. Co najwyżej na odepchnięcie „starą miłość, zużyta przez litości, samotność i gniew”.

Tak oto wskrzesza Miłosz — w nieprawdopodobnej redakcji — metafizyczny konflikt poety i tłumy. Doprowadza go nawet do najradikalniejszej skrajności. Tak banalnych obrazów tłumy nie mieliśmy nawet w czasach najgorszej dekadencji. Takich zoologicznych uogólnień nie robili nawet Przybyszewski. On gardził gatunkiem mydlków, ale określał ten gatunek socjalnie. Identyfikował go z pewną klasą społeczną, z pewną przejściową epoką. U Miłosza nie ma miejsca na kategorie społeczne. Wszyscy bez wyjątku, burżuje i proletariusze, jednak jesteśmy „Adamami zaprzęgniemy w jarzmo”. Istnieje tragizm całego rodzaju ludzkiego. Tragizm aprioryczny, bezkondycyjny, nie zostawiający miejsca na jakikolwiek heroizm.

Megalomania übermenschów Nietzschego jest wzniosłą enotą społeczną w porównaniu z „czystością” Miłosza. Tam bydlę ludzkie nadawało się przynajmniej na nawóz dla twórczych pomysłów nadezwolówka. U Kasprowicza ród ludzki obdarzony jest świadomością swej nędzy, tłum zaś jest chytłym partnerem. Schyłkowiec Tetmajera miał przynajmniej po ludzku kreowane zmysły, kastrat Miłosz zdolny jest tylko do szumnych podfruwań. Konrad, Anelli, Popiel gardzili masą, ale umieli się zdobyć na odpowiedzialność za swą pogardę. Gotowi byli ten tłum przerobić, zastąpić, ocalić. Nie bali się, że kwaśny zapach kapusty pozbawi ich nieśmiertelności. Konradowi paszport do Boga wystawia konkretne cierpienie za konkretne miliony. Parnasiści ciekali na szczyty wień, bo tam widzieli odpowiedni warsztat dla skupionej, pracowitej roboty nad dziełami sztuki. Miłosz chce się tylko odróżnić i wyrazić siebie przez maski. Gotów jak Szymon Słupnik stać przez resztę swego życia na jednej nodze na — Palu, by nie uronić nie ze swej świętości przez biologiczny kontakt z tłumem. Wtąpić jednak należy, czy Bóg ucinie cud karmienia pustelnika kromką chleba przyniesioną przez orla, czy wytrysną mlekiem paniemskie piersi św. Krystyny, by umożliwić mistyczny ideał spożywczy autarkii.

Wszystko to nie przeszkadza Miłoszowi wierzyć i wmawiać w innych, że jest reprezentantem i przodownikiem pokolenia. Jako na inną niekonsekwencję można by też powołać się na Miłoszową tezę o podobieństwie poety i środowiska, uważanym za największe nieszczęście, lub na przekonanie o istnieniu krzywdzącej palupki „w chęci zlania się z cierpiącym tłumem, przyjęcia na swoje barki radości i zmartwień, jakie go przyniatają”. W ustaleniu stanu faktycznego niech jednak nie te aforyzmy przemawiają, ale zestawienie osobowości Miłosza z obrazem współczesnego mu pokolenia. Jak jest Miłosz? Nie chce w tej chwili ustalać sylwetki na podstawie twórczości; wystarczy posłuchać autoanalizy z artykułów. Charakteryzując swój etap przed zejściem na ziemię, korzysta z takiego słownika: nędra, śmierć, grzech, litosc, żal, okupienie win, cierpienie, zmary, smutek, rozpacz, zwątpienie, skaza na samoukochnianiu, niepokój, zlorzeczenie, skarg gorycz, zniechęcenie, lzy, kłamstwa, uraz, chłód, pogarda. Wynotowałem słowa z jednej strony artykułu. Nie mniej charakterystyczne jest uzasadnienie — milczenia: „wynika z przerażonego zdumienia”, „z zalamania rak nad opętaniem i zbrodni, której nie nie powstrzyma”, „z niemocy alchemików”. Mówi dalej o pełni popołudnia, o ślepiecu „od tego

nieustannego wyteżania strzoku”, o udziale w samotności, męce i strachu śmierci. Tak jest autorportret Miłosza.

A jakież jest pokolenie współczesne? Próbowano dać zarys jego konturów we wstępnym artykule *Pióra*: „To nie jest młodość zdobywcza. Dotknął ją wielki wstrząs: zachwianie się w posadach świata powojennego. Żyje w niepewności jutra, targana lękiem i niepokojem”. Wynikało, że adekwatna jest Miłoszowi. Ale czy to jest dobra charakterystyka młodości? Wydaje mi się, że w tym wypadku fakty nie odpowiadają apriorycznym przesadom, wydedukowanym z sytuacji własnej i swoich kilku najbliższych, o specjalnej społecznej — nieprzynależności. Tragizm obecnego pokolenia jest banalnym mitem. Skądże bowiem tragizm? Tragizm mogło być pokolenie z r. 1863, ewentualnie z 1905; ale obecne? Wojna? kiedyż przestanie się nią u nas mydlić oczy! Jakież wartości ona zburzyła? Trzy potęgi zaborez i wiare w kapitalizm. Zburzyła bariery przesadów, na których usunięciu w innych okolicznościach młodość zużywa swe najlepsze siły. Zmieniła rzeczywistość, otwierając przed nią najwspanialsze możliwości, powołując nowe zdrowe siły społeczne. Z jakiegokolwiek punktu światopoglądowego popatrzymy na tę młodość, z socjalistycznego, chłopskiego, narodowego, państwowego, katolickiego — nikt nie widzi przed tą młodością ślepych ulic i mgły.

I naprawdę żaden odłam tej młodości nie odczuwa metafizycznego niepokoju. Nawet najbiedsza młodość szwinityczna wie co ma robić. A popatrzymy na młodość choćby tylko chłopską. Toż tam rodzi się nowy świat i to w kształtach jakże wyraźnych i jasnych. Kogóż odbija Miłosz? Tylko uciekinierów z rzeczywistości, zapewne że trudnej i może groźnej, ale i odważnej. Słabość, senność, bezradność, męczeństwo, osamotnienie, grymas, popłoch — ejże! jeśli to nie jest świadoma i chytra poza, że nie jest to prywatna tragedycja zbankrutowanego społecznie indywidualisty, który „stojąc pośredku tego malpiego, złośliwego i nieszczęśliwego plemienia, jakim jest ludzkość”, kokietuje sam siebie karierą anielskiego nadzwyczajności. Jeśli tak, to szybkie przechodzenie etapów rozwoju jest tylko szybkim teze-

niem się po równi pochyłej. Już raz obserwowaliśmy taką karierę na przykładzie inego uzurpatora do przodownictwa pokoleniu, na Łobodowskim. Dzisiejsza ludzkość wcale nie jest taka nieszczęsna, wcale nie „błaga poetów o „współczucie”, ani nie każe walemu pocie „unosząc ciężar krzywdy”, tym bardziej „zamykać jej w formy hermetyczne, opowiadając prawdę tylko dla wtajemniczonych”. Dzisiejsza ludzkość nie pragnie wiedzy metafizycznej, nie czyha na nagły błysk objawienia. To wmawiają w nią oszuści. Najlepsza jej awangarda wie, gdzie są wrogowie, fałszywi prorocy i metne lby. Ma także wyraźną wizję swej pożądanej przyszłości i gromadzi siły dla wywalczenia zwycięstwa. Jej zmartwieniami nie mają nic wspólnego ze zmartwieniami Miłosza.

Sugestie Miłosza nie są słuszne także choćbyśmy je zacieśnili do pokolenia współczesnych poetów. Miłosz chce wzmocnić, że współcześni pisarze nie mają ambicji formowania własnych osobowości, jako organicznego warunku i materiału do artystycznej wynalazczości i ekspresji. Że woła bezpersonalnie zabawiać się składanką metafor i dźwięków słów, które nie mają żadnego pokrycia w wewnętrznej potrzebie autorów kształtowania siebie i świata.

Naprawdę jednak analiza stanu faktycznego nie potwierdza diagnozy Miłosza. Nie podlegają chyba bowiem temu zarzutowi Skamandryci, którzy nie przecie nie robią, tylko ciagle wyrażają swój żywioł psychiczny; nie podlega Bąk, eksploatujący bez ustanku swoją „głębę”; nie pasuje do tych zarzutowi autentyzm, choćby z natury swego podstawowego postulatu szczerości, ani wreszcie awangarda, która właśnie z tęsknoty do wiernego uścisku z terażniejszością wyprawdza swą nową poetykę. Czyż w utworach awangardy nie brmi najpełniej głos epoki, pokolenia, klasy społecznej, środowiska, problematyki i poszczególnych osobowości, które w sztuce mierzą się przecie tylko zdolnością wypracowania własnego stylu, wyrazu? Jeśli kogo wskazałbym jako adresata ataku Miłosza, to chyba takiego ferdydurka jak autor *Przyjścia uroga*. Tam jest naprawdę uwodzielstwo dźwięków i obrazów. Ale jako wynik czego? Wynik „dozrywania się do własnych pokładów, gdzie

na dnie fantastycznego jeziora leży dziwne światło”. Bardzo dziwne! ani nie grzeje ani nie oświeca! Próchno potworów głębino-wych.

Domagając się prawa do wyrażania siebie, Miłosz miałby swoją subiektywną rację, gdyby miał na myśli pewnie określone społecznie treści. Gdyby miał wypracowaną koncepcję człowieka, uważaną za najpełniejszy i najwartościwszy ideał i występował w jego imieniu; obojętne czy by by nim on sam tylko, czy kółko towarzyszy, czy całe pokolenie. Rozumiałbym ortodoksyjnego katolika czy socjalistę, których boli że w literaturze nie potwierdza się ich światopogląd, nie panuje ich system wartości, nie dominują ich podejścia, problemy i hierarchie. Ma prawo krzyknąć głośno Czuchnowski czy Zegadłowicz, bo się ich konfiskuje, jednego za nieprawomyślność, drugiego za pornografię; ale nie ma tego prawa Miłosz, któremu nikt nie broni wyrażać siebie, a którego drażni zbytnia troska innych poetów o budowę oryginalnego — wyrażania się. Opozycja Miłosza przeciw formie, dyskrecji, powściągliwości, opanowaniu, selekcji, a agitowanie za „bujną gęstwą uczuć”, jest nie tylko rozgłoszeniem w wszelkiego nieuctwa, niedojrzałości i mętności, nie tylko wyrazem zupełnej bezsily ideowej i marazmu artystycznego, ale świadomym szkodnictwem, tym większym w porze polskiej że choruje ona właśnie na fobie przed dyscypliną, odpowiedzialnością, racją i logiką budowy. Miłosz wdziewa tożę Cicerona, ale gdzież jest ten podpalający miasto Katylina?

Kompromituje się poza tym Miłosz bardzo powierzchowną znajomością poezji. Za jednym zamachem spycha całą w formułkę formalizmu. Ale czymże jest formalizm? Nie jest żadną teorią twórczości, ale metodą opisu gotowego dzieła. Jest stanowiskiem specjalistów profesorów, którzy chcą wyjść z grząskiego błotka dotychczasowych badań literackich i którym ani w głowie kierować konkretnym życiem artystycznym. Można się sprzeczać na temat sensu ich pracy, są to jednak sprawy z inspiracjami poetyckimi nie mające nic wspólnego. Metoda opisu świata roślinnego według pedantycznego Linneusza nie wypienia żadnego gatunku. Miłosz miesza sprawę twórczości i sprawę badania wytworów twórczości. Poezja Miłosza, jeśli zostanie, to dzięki wyklinanym pięknościom formalnym. Ale i one nie pomogą, gdy autor ugrzęźnie w „próchniętych glebach indywidualnego losu”.

Istnieje jeszcze jedna mistyfikacja. Miłosz, mówiąc o swym świetnym odosobnieniu, stwierdza że „nie jest ono możliwe poza chrześcijaństwem”. Mówiąc o ogromnej godności swego niepokoju, nazywa go darem, łaską świętych i proroków. Każę nam z radością powitać rozwój spirytualizmu. Wypowiada aluzję do boskich znamion, do paktów zawartych z Bogiem. Niedwuznacznie stara się o wiązanie swego stanowiska z pozycjami zajętymi przez Maritainą. Wola o sprawiedliwą mądrość, polegającą na „umiejętności przebachania sobie samego”. Wszystko to świadczy, jak w ogóle zresztą ton i intencja wywodów, o chęci Miłosza uplasowania się ze swą twórczością w ramach obozu neokatolickiego. Niestety, w obecnym stanie rzeczy „religijności” Miłosza nie można nazwać inaczej jak snobizmem. Jest rzeczą dość paradoksalną, że ambicje te ujawnia grupa pisarzy najmniej do takich odrozdzeń predestynowana. Akcja Maritaina, na którego jako patrona powołuje się „nowa poezja”, jest wyrazem klarownego, erudycyjnego, mocnego intelektualizmu zachodnio-europejskiego, gdy typ Miłoszów, Zagórskich, Łobodowskich manifestuje irracjonalny, „kresowy” patos bogoszukiaczy, stoczony psychologizmem i apokaliptycznością. Toteż bardzo dziwne się Frydemu, który w charakterystyce „siódmymki” z *Pióra*, mówiąc o braku żarliwości u uczu, o braku retorycznej deklamacji, o nieobecności symbolizmu, o blasku formy, o wolności od rozterki, o rygorze intelektualnym, chce abymy uwierzyli, że to jest mowa o Miłoszu albo Pietaku! Albo sprzeciwianie się Kasprowicowi! Czymże jest Miłosz jak nie wysiłkiem ani Kasprowicza z najgorszej jego, pohymnowej epoki! — A poza tym: „Poco piszesz, bando niedouków? Czy myślisz, że komuś potrzebne są twoje troski o nowy chwyt i nowe metafory?” Czy może być większe bluźnierstwo — w tonie i treści — z punktu widzenia Maritaina?

„Profetyzm anielski” Miłosza jest zjawiskiem ezkdylowym, jako przykład panowania się mody na niedojrzałość i nonszalactwo, jako symptom obumierania w sztuce wysiłku i ambicji twórczych, jako pasyżowanie na demagogicznych hasłach głębi, wycekiwania na cudy i natchnienia, odrywania się od ziemi.

IGNACY FIK

LUDWIK EMINOWICZ

ROZMOWA

Mówiła raz, dłońmi głaszcząc wagi
płynących fal muzyki czy też magii:

„Gdy wchodziś w płas, rozrucasz się na torze
obrotów swych — poświęca, co jest może
astralem rąk i stóp... A póz idee,
ustające z niej, wzniciąją lśnić zawieje,
bym pewnie szła... Chwytają mnie te larwy
za skrzydła z aur i wirujące barwy
kształtują w grze mój zarys, jak wicherzyce
w powietrzu mgłę — aż tańcem się przesyce,
powstrzymam pęd, karnacją w siebie wchlone
wylśnioną jaźń i frygi jej szalone...”

A na to on z ufnością rzekł, jak ludzie,
co tworzą świat, choć żyją w ciągłej dziedce: —
„Tancerko ty, sięjąca błysków mrowie,
czy bywa tak w tej twojej nadbudowie
świetlistych widm, gdy w poprzek staje chwila
kończąca tan, że z biżni się wychyla
niektóra z mar, utkanych z twojej luno,
wypręta tors, rozrywa więzów kuny,
pomyka hen, porzuca kragle kola,
lub, jeśli bieć ubrew ciżbie sióstr nie zdola,
opóźnia takt, osuwa się w światłości
najbliższej z dróg, jak upuszczony zlocień,
by nigdy już nie wracać w lotniskowiec
nieuolnych śmig...? Czy bywa tak — odpowiedz,
lub głową skii czy może być, że będzie,
a dając znak, miej, d o b r o s n ó w na uzglądzie: —

W przestrzeni sil, co tworzą mnie i morzą,
drży myśli rój, wieńczony krwi mej zorzą,
iż godny jest, by rzucił własnowolnie
mój wewnętrzny świat, jak niewygodną sztolnią,
i wionął w dal po własnej swej orbicie, —
lecz jakiś czar zadławia lotek bicie
i tworów tłum rozwiera jej daremnie...
Więc wiedzieć chce, czy kiedyś wybrną ze mnie,
czy zdarzy traf, że wleczą w wymiar inny
przez jakiś ruch gwałtowny albo zwinny...”

Ś. p. Edwardowi Leszczyńskiemu — pocie
poświęcam

MARIAN PIECHAL

POLSKI KONKWISTADOR

Był nim, według Mieczysława B. Lepeckiego, Maurycy August hrabia Beniowski, „szlachcisk polski i węgierski”, prawy konfederat barski, który w bojach o zarysowującą się wtedy całość Rzeczypospolitej ranion kilkakrotnie dostał się do niewoli moskiewskiej, a stąd w konsekwencji nieudanej ucieczki zesłany na ziemię późniejszych wygnańców polskich (których martyrologie zapoczątkował) na Kameczatkę. Bohater poematu Słowackiego i powieści Sieroszewskiego tonął dotychczas w legendzie, która go wyniosła do wyżyn niemal mitycznych, ale i zacierala coraz skuteczniej ziemskie jego rysy, które były nie mniej szlachetne i nadzwyczajne, niż te stworzone przez legendę. Lepecki postanowił odwiać mgłę zmyśleń i tajemniczości sprzed prawdziwego oblicza „polskiego konkwistadora”, któremu właśnie ten epitet „polski” ma nadawać swoiste, szlachetne znaczenie. Wyloniona z gęstego тумanu plotek, odbrazowiona z poetyckiej fantazji i wszelkiego unieprawdopodobniającego wymysłu, postać Beniowskiego w interpretacji Lepeckiego¹, zyskując wszystkie ziemskie rysy, nie traci nic na niezwykłości, rzekłbyśmy nawet: tragiczności.

Posługując się umiejętnie pamiętnikiem Beniowskiego, zapiskami jego towarzyszy ucieczki z Kameczatki i przeróżnymi innymi dokumentami, jak raporty gubernatorów Madagaskaru do rządu francuskiego, listy ówczesnych mężów stanu, świadectwa awansów, karty nominacyjne i t. p., odtwarza Lepecki z drobiazgową skrupulatnością każdy niemal ważniejszy moment życia Beniowskiego, począwszy od udziału w obronie Krakowa przed Moskalami w r. 1768. Miał wtedy lat 27 i został mianowany generałem artylerii. Tak zawrotną karierę swoją w Polsce zawiązywał tyłem stosunkom i koligacjom rodowym, co przede wszystkim niepospolitym osobistym zaletom i zdolnościom. Urodził się bowiem „na Węgrzech we wsi Werbowie z ojca Samuela, generała w służbie austriackiej, i Róży baronówny de Ravay, dziedzicznej hrabiny Turocz. Kształ-

sy na pochwały i zaszczyty, wszędzie będzie zaznaczał te swoje koligacje rodowe, odznaczenia i zasługi, posuwając się nieraz do gestów, które byśmy z dzisiejszego punktu patrzenia i kwalifikowania zaliczyli do typowych gestów „hochsztaplerskich”. Aby sobie ułatwić np. drogę do Kazimierza Pułaskiego

mu dokument upoważniający do zakładania pod flagą austriacką osad zamorskich, posiada swoją wymowę”.

Najważniejszym jednak dowodem, według Lepeckiego, obalającym zarzut jakoby Beniowski był tylko pospolitym w owych czasach, aczkolwiek nieprzeciętnym awan-



BENIOWSKI

w Ameryce, przedstawia siebie jako jego bliźkiego i znajomego kuzyna, czego potwierdzenia nigdzie nie znajdujemy. Sam Lepecki tak o tym powiada: „Gdyby do człowieka z XVIII wieku wypadło przykładać epitetu stosowane w wieku XX, chętnie użyto by pod jego adresem określenia „hochsztapler”. Naturalnie bardzo by skrzywdzono tego dzielnego i niezwykłego człowieka”. W dalszych zdaniach Lepecki polemizuje z tymi, którzy byli skłonni uważać Beniowskiego tylko za

turnikiem, są koleje jego życia. A więc: brał udział w wojnie siedmioletniej (od 1755 do 1758, mając lat 14 — 17); w konfederacji barskiej, w której dosłużył się wysokiej rangi generała artylerii, co potwierdzają potem w r. 1772 marszałkowie konfederacji barskiej, Pac i Krasiński, wydając mu dekret nominacyjny na generała wojsk polskich; następnie — niewola moskiewska i zesłanie na Kameczatkę jako następstwo udziału w konfederacji barskiej; ucieczka z Kameczatki i powrót pełen egzotycznych przygód do Europy naokoło Azji i Afryki; opanowanie drogą pokojową Madagaskaru, którego lud obiera go swoim dożywotnim władcą i założycielem dynastii cesarskiej; powrót do Francji, w celu usankcjonowania przez rząd francuski jego władztwa w imieniu tegoż rządu na Madagaskarze; wyjazd do Austrii i udział w bawarskiej wojnie sukcesyjnej przeciwko Prusom; podróż do Ameryki na wieść o powstaniu i próba zorganizowania legionu europejskiego przeciwko Anglii; pobyt w Anglii i próba sklonienia rządu brytyjskiego do protektoratu nad Madagaskarem i poparcia jego projektów kolonizacyjnych; wreszcie powrót na Madagaskar, przedsięwzięcie prac cywilizacyjnych na tej wyspie i po niespełna roku władzy śmierć z ręki Francuzów w r. 1786. Widzimy tedy, że jest to życie pełne przygód, niesłychanie czynne, zawsze dążące do celu wzniosłego, pozasoobistego, niekoniecz-

nie drogą najłatwiejszą, przede wszystkim bardzo przedsiębiorczą, wynalazczą i odważną, z nierazkimi momentami prawdziwego heroizmu. Życie takie zasługuje w pełni na nazwę życia rycerskiego.

Jako główny szkopuł pozostaje jeszcze sprawa jego narodowości. Lepecki pisze: „Był on oczywiście pochodzenia węgierskiego, ale rodzina jego była powiązana z Polską wielu węzłami już od wieku XIV. Za czasów Władysława Łokietka przybyło do Polski dwóch jego prapradziadów, wygnanych z ojczyzny z powodu zamieszek politycznych. Ich synowie czy też wnukowie, Urban i Beniamin, powrócili na Węgry, gdzie stali się założycielami dwóch rodów: Urbaniów i Beniowich. W pierwszej połowie XVIII wieku znajdujemy u nas znowu członków tej rodziny, z której jeden (stryj Maurycego) był komendantem miasta Baru. Wreszcie sam Maurycy przybył do Polski mając lat siedemnaście, ożenił się z Polką ze Spisza, należącego wówczas jeszcze do Rzeczypospolitej, i zmienił nazwisko na Beniowski; w Polsce mieszkał przez lat dwanaście, to znaczy do chwili gdy ciężko ranny jako konfederat barski dostał się do niewoli moskiewskiej i został zesłany na Kameczatkę. Później granice Rzeczypospolitej zostały już dlań zamknięte. Pozostał mu jednak otwarty Spisz, przyłączony w r. 1772 do Austrii. Bywał tam często”.

Poza tym istnieje cały szereg dowodów na to, że uważał się za Polaka. Najwiarogodniejszym z nich jest własny jego pamiętnik, gdzie polskość swą niejednokrotnie akcentuje; następnie świadectwa jego współczesnych zgodnie mówią o nim jako o Polaku. „Tak więc, — konkluduje Lepecki, — Beniowski, chociaż nie formalnie ale rzeczywistie był Polakiem, i to dobrym Polakiem. Dał tego dowód, przelewając



krwem w szeregach konfederacji barskiej i cierpiąc w więzieniach moskiewskich. Byłoby nonsensem nazywać go Węgrem, jak nonsensem byłoby nazywać Włochem Napoleona, Niemcem — Wincentego Pola, Włochem — Andriollego lub Francuzem — Chopina”.

W zakończeniu swej książki Lepecki zauważa: „Wiek XVIII, który tyle posiadłości przysporzył krajom innym, nam przyniósł tylko straty. Maurycy Beniowski ze swoją inicjatywą, energią, inteligencją i zrozumieniem roli rasy białej na czarnym i żółtym kontynencie był postacią wyjątkową, która powinna budzić w nas nie tylko zaciekawienie, ale i dumę. Nie był to bowiem awanturnik czy poszukiwacz przygód, lecz pionier kolonialny, którego dzisiaj nagrodzilibyśmy orderem i na którego cześć urządziłbyśmy akademię i przyjęcia”.

MARIAN PIECHAL



Tonąca łódź Beniowskiego u brzegów wyspy Usma Ligon

cił się w Wiedniu, najpierw w kolegium, a później w szkole wojskowej. Już w r. 1755 (a więc mając lat czternaście) był podporucznikiem i brał udział w wojnie z Prusami. Podczas drugiej kampanii wojennej, w r. 1758, otrzymał list z Polski od swego stryja, starosty Beniowskiego, który go zapraszał do siebie, aby przekazać mu swoje starostwo. Siedemnaścieletni weteran porzucił służbę cesarską i udaje się na Litwę, gdzie po rychłej śmierci stryja dziedziczy jego majątek”.

Od tego momentu więc datuje się polskie obywatelstwo Beniowskiego, którego się już nie wytręknie przez całe życie i które będzie akcentował w wszystkich dokumentach osobistych i przy wszelkich okazjach. Ła-

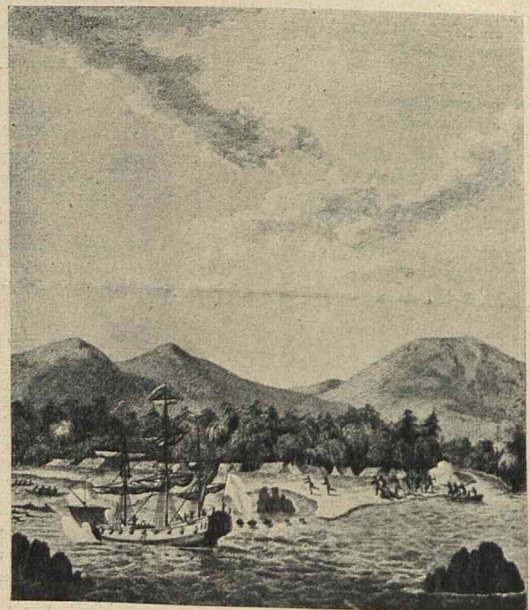
pospolitą typ awanturnika i zdolnego korsarza, których wielu bardzo liczył wiek ówczesny. „Mimo woli nasuwa się pytanie, — pisze dalej Lepecki, — czy możliwe byłoby nagrodzenie Beniowskiego po powrocie z Madagaskaru w r. 1777, a więc po trzydziestu trzech latach na wyspie, tytułem hrabiego, stopniem generała brygady (w 37 roku życia, polskim generałem artylerii był już mając lat 27), sumą 150 tysięcy liwów, orderem św. Ludwika oraz dożywotnią pensją w sumie 9 tysięcy liwów rocznie, gdyby był on naprawdę rycerzem przemysłu, za jakiego zaczęto przedstawiać go później, gdy zerwał z Francją? Sam fakt takiego traktowania go przez dwór wersalski jest najważniejszym dowodem, przemawiającym za jego uczciwością i czystością charakteru. Również stosunek do niego ludzi tej miary, co Benjamin Franklin, Jerzy Waszyngton, Choiseul oraz cesarz Józef II, który wydał

¹ MIECZYSLAW LEPECKI: *Maurycy August hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru*. Wyd. Książnica-Atlas. Łwów — Warszawa, 1938.

OGRÓD - KAWIARNIA **K. DAKOWSKIEGO** w Bagateli

jest najmiłszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy

KONCERT dwa razy dziennie — DANCING — COCKTAIL BAR — WYSTĘPY ARTYSTÓW



Okręt „Św. Piotr i Paweł” u brzegów Formozy

MARIA MIRSKA

REWINDYKACJA CHOPINA

W książce Kadena Bandrowskiego pt. *Zycie Chopina* czytamy m. in. także o pamiętkach po Chopinie, które zaginęły jakby wskutek zrzęcenia losu, aby tym swo-
bodnie jako ujawnić się mogła jego —
muzyka. Bandrowski ma o tyle słuszo-
nie, że istotnie nad wielu pamiętkami po Chopi-
nie zaciążyło jak gdyby jakieś fatum, niez-
cząc je bezpowrotnie (np. listy do rodzici-
ców z obczyzny, listy do George Sand, for-
tepiam, portret Ary Scheffera i inne pamięt-
ki, które splonęły w pałacu Andrzeja Za-
mojskiego na Nowym Świecie w r. 1863).
Ocalały na szczęście prawie wszystkie auto-
grafy muzyczne Chopina; tu jednak znowu
ubolewać wypada nad innym zrzęceniem
losu — a mianowicie nad ich niezmiernym
rozproszaniem. Co więcej, nie było i nie
ma dotychczas nawet porządnego ich in-
wentarza, a więc spisu i wykazu, gdzie i ja-
kie rękopisy Chopina, zwłaszcza muzyczne,
się znajdują. Lukę tę powinna nasza chopi-
nologia czym rychlej wypełnić. Praca nad ta-
kim inwentarzem nie tylko zarejestruje i do
wiadomości zainteresowanych poda znane
już instytucje, mające w swym posiadaniu
manuskrypty Chopina, ale wymagać będzie
jeszcze dalszych poszukiwań. Dziś bowiem
często przypadkowi tylko zawiędząca ha-
dacz odkrycie takiego czy innego autogra-
fu, znajdującego się w posiadaniu nie tylko
instytucji, lecz nawet osób prywatnych.
Gdy o Warszawę chodzi, to te rzeczy już
są do pewnego stopnia zrobione i opubliko-
wane. Brak natomiast kompletnego spisu
chopinianów, znajdujących się w innych mia-
stach polskich (Lwów, Kraków, itd.) oraz
za granicą, jak np. w Konserwatorium pa-
ryskim, British Museum w Londynie, na
Majorce, etc. Ten żalony, choć historycz-
nie uzasadniony stan rozproszenia rękopi-
sów szopenowskich nasuwa zresztą nie tylko
myśl o konieczności porządnego ich
zinventorywania lecz także życzenie, aby
kiedyś udało się wykupić i zebrać wszyst-
kie te relikwie szopenowskie i umieścić je
w jednym jakimś „sanctuarium” np. w nie-
istniejącym jeszcze „Muzeum Chopina”.
Myśl to zapewne nierealna, choć jakże
nie-realne wydawać się mogło to, co właśnie
zostało urzeczywistnione, t. j. nabycie w
ub. roku teki szopenowskiej od Breitkopfa
i Haertla w Lipsku.

Nie tu miejsce pisać o tym, jak się to
stało. Stwierdzić tylko, że szczęśliwa inicy-
tywa zasłużonego Instytutu im. Fryderyka
Chopina znalazła niezwykle zyciwe popar-
cie w Rządzie, dzięki któremu skarb ten
znajdujący się już obecnie w Bibliotece Na-
rodowej.

Prawdziwy to skarb, gdyż zawartość o-
wej teki obejmuje 3 podobizny Chopina,
szereg listów rozmaitych osób do Chopina,
oraz 19 oryginalnych manuskryptów muzy-
cznych lub kopii autoryzowanych przez
Chopina. Jedną z trzech podobizn to kopia
(dagerotyp) znanego portretu Chopina
narysowanego przez G. Sand. Dwie inne to
dagerotypy opatrzone na odwrocie napisem
firmy: „Portraits au Daguerotype à Pom-
bre, à l'interieur et en quelques secondes
par L. A. Bisson fils, Rue St. Germain l'Au-
xerrois près le Pont neuf, 65, à Paris”.

Następny dział teki to zbiór autografów
muzycznych. Nie tu miejsce na szczegóło-
we ich omówienie, ani od strony archiwal-
nej, ani, co ważniejsze, od strony krytyki
tekstu. Poprzestaję musimy na prostym ich
wylczeniu, aby choć w części dać czytelnikowi

odczuć radość z odzyskania tych relik-
wii. Podajemy oryginalne napisy kart ty-
tułowych, zaznaczając w nawiasie, czy tekst
jest rękopisem Chopina, czy też pochodzi
z obcej ręki, a tylko przez Chopina był
przejrzany, lub nie.

1) „*Second Concert* de Chopin (op. 21) de-
diés à M. la Comtesse Potocka née de Kom-
mar”. — Dopisek „La Partie du Piano est l'au-
-

9) „*2 Nocturnes pour le Piano forte* par F.
Chopin op. 37” (Kopia, prócz strony tytułowej
i pedalizacji).

10) „*3-me Scherzo pour le Piano Forte* dedié
à Mr Adolphe Guttmann par Chopin op. 39”
(autograf).

11) „*2 Polonaises pour le Piano* dediés à son
ami Jules Fontana par Fred. Chopin op. 40”
(kopia, pedalizacja ręką Chopina).

12) „*4 Mazourkas pour le Piano Forte* de-

13) „*Sonate pour le Piano Forte* dediée à
Madame la Comtesse E. de Perthuis par F. Cho-
pin Oev. 58, Leipsic chez Haertel, Paris Schles-
singer, Londres Wessel et Stapleton” (autograf).

19) „*Polonaise-Fantaisie* par F. Chopin. Leip-
sic Haertel, Paris Brandus, Londres Wessel op.
61” (autograf).

Trzeci dział rewindykowanej puszczyny
po Chopinie stanowią wspomniane już listy.
Wszystkie one były dotąd, o ile nam wiado-
mo, nieznanne badaczom Chopina, tym więk-
szą zatem przedstawiają wartość. Nie mając
możliwości przytoczenia ich tekstów w cało-
ści, podajemy tylko jeden z nich — od El-
snera:

„Kochany Fryderyku!

Przedewszystkiem moje i od wszystkich, któ-
rym jesteś osobicie znanym i droгим, najser-
deczniejsze pozdrowienie i wielce już zasłużone
jako Artysta i Człowiek powiódzenie we wszyst-
kich zamiarach i życzeniach Swoich; a teraz
przyjacielska prośba moja:

Opuszczając w przeszłym roku S. Petersburg,
Cesarskie Królów Miasto, przzymuszony byłem
Wiel. Karolowi Soliwa, u którego mieszkałem
i, powiedzieć muszę, wszystkie wyгоды miałem
(1?), zostawić mój rękopisem Oratorium *Pasio*
D-N. Jesu Christi Seu Triumphus Ewangellii
dla całkowitego onego wykonania dopiero pod-
czas wielkiego tegorocznego postu i poleciłem
mi zarazem onego ogłoszenie, oświadczając,
iż moim życzeniem by było, ażeby to dzieło mo-
gło być wydane w Paryżu u Schlesingera. Nie
wiem, czy w tem Wiel. Soliwa już uczynił ja-
kieś kroki, czy jeszcze nie; ale bądź jak bądź,
wolę Cię uwiadomić i prosić, abys raczył o tem
zainformować się i pomówić z Osobami tego te-
raz tak sławnego Domu. — Zareczyć można śmiało,
wierząc mnie Kochany Fryderyku! iż wydawać
z tym dziełem bardzo, korzystny interes przed-
siębiorcze. Nietylko z powodu nowości i warto-
ści muzyki, jak niemniej Dedykacji itd., lecz z
powodu *naypręd* iż wydaniem tego dzieła
wyjawia się zupełnie nowy rodzaj Oratorium,
w którym Muzyka jako kunszt piękny najwyra-
źniej i najwłaściwiej dopiero obchodzić może
Triumf swojej Samodzielności (abym o tem dał
najmniejsze wyobrażenie Kompozitorom, Ar-
tistom, Znamcom i Amatorom muzyki w Peter-
sburgu potrzebne dla wyeksekowania, napis-
tań tam Plan historycznego Oratorium pod ty-
tułem *Piotr Wielki*) a powtóre oratorium to
Ecclesiastium (?) w głównych (?) może oraz
bydź użytym przed albo po kazaniach podczas
wielkiego postu bo oprócz *Finale* (?) Et resur-
xit i *Alleluja* składa się właśnie z tyle stosow-
nych dla Kościołów szczególnie rzymsko-katoli-
ckich oddziałów mniejszych itd.

Jeszcze jedna prośba: w tym roku dopiero —
nie dawno nawet, odebrałem przez Józ. Nowa-
kowskiego drogą pamiętkę le *Second Cantique*
de X Siecle (?) mnie przez sławnego A. Cz. (?)
ofiarowaną za co Mu wielce obowiązany się
czuję, co tym czasem w moim Imieniu Zame-
nu przyjacielowi memu raczysz oświadczyć i
oraz że przy pierwszej dobrej okazji do Niego
na piśmie i moją winną wdzięcznością (?) się bę-
de, w Tobie zaś może różne myśli o muzyce w
ogólności, a w szczególności o Oratorium, o O-
perze, itd. udzieli.

Ala... ale — w moim pokojowym Parnasie
niekiedy poraz drugi twój umieszczam portret,
a z tym u mnie, czy raczej przy mnie, już bę-
dzie stojący i siedzący Chopin (grajającego, czy
mamy Fielda i innych, podobno jeszcze niema).



CHOPIN (dagerotyp Bissona)

tographe de l'Auteur” (3 części Koncertu F
moll).

2) „*4 Mazourkas pour le piano forte* dediés
à Monsieur le Comte de Perthuis par F. F. Cho-
pin” (op. 24) (autograf).

3) „*Etudes pour Piano* dediés à Mme la
C-esse d'Agoult par Chopin. Oeuvre 25”. 12 Etud
(autograf).

4) „*1-me Nocturne pour le piano-forte* par
FF. Chopin op. 27 *Nro 2*” (autograf).

5) „*Quatres Mazourkas pour le Piano* par
Fred. Chopin op. 30 (Manuscrit original)” (au-
tograf z wyj. strony tytułowej).

6) „*Scherzo pour Piano* dedié à Mlle la
C-esse Adele de Fürstenheim par F. F. Chopin
Leipzig chez Haertel, Paris chez M. Schles-
singer, Londres chez Wessel op. 31” (autograf).

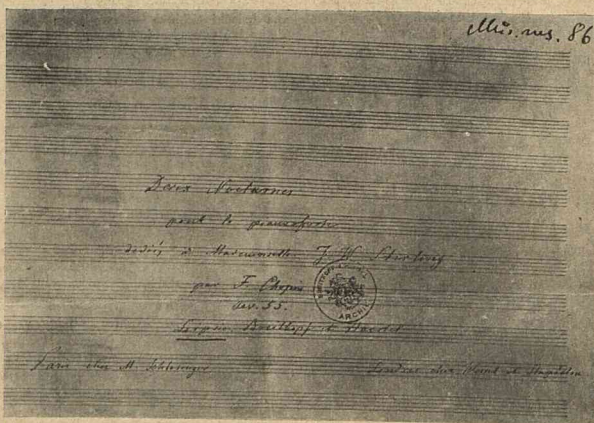
7) „*4 Mazourkas pour le Piano* dediés à
Mlle Rose Mostowska par Chopin op. 33” (au-
tograf).

8) „*Sonate pour le Piano Forte* par Chopin
op. 35” (4 części, autograf).

diés à Mr Etienne Witwicki par F. Chopin op.
41” (kopia).

13) „*Allegro de Concert pour le Piano* For-
te dedié à Mademoiselle F. Müller (de Vienn-
e) par F. Chopin Oev. 46 Breitkopf et Haertel,
Maurice Schlesinger” (autograf).

14) „*Fantaisie pour le Piano Forte* dedié à
Madame la Princesse Catherine de Souza par
F. Chopin Breitkopf et Haertel, Paris M. Sch-
lesinger. Oev. 49” (autograf).



Karta tytułowa dwu nokturnów op. 55

15) „*Deux Nocturnes pour le pianoforte*
dediés à Mademoiselle J. W. Stirling par F.
Chopin Oev. 55 — Leipsic Breitkopf et Haertel,
Londres chez Wessel et Stapleton, Paris chez M.
Schlesinger” (autograf).

16) „*3 Mazourkas pour le Piano Forte*
dediés à Mademoiselle C. Maberly par F. Chopin
Oev. 56” (autograf).

17) „*Berceuse pour le Piano-Forte* dediée
à Mademoiselle Elise Gavard par F. Chopin
Oev. 57, Leipsic chez Haertel, Paris Schlesinger,
Londres Wessel et Stapleton” (Kopia z wyj.
karty tytułowej i pedalizacji).

Szkoda że dotąd niemał portretów (w samej
ręce) Twoich *niby* rywalów Thalberga — Hen-
selta — Liszta, jakoteż twojej romantycznej i
sławnej Wielbicielki (nie mulier homo) bo wie-
działabym jak Ciebie niemi otoczył.

Kochaj mnie jak ja Ciebie, i wierząc mnie
że Cię, czy stojącego, czy siedzącego, czy na ko-
niec grającego mniej nie uwielbia jak twoia...

Twoj najszerszy itd.

Józef Elsner

Warszawa 24 Marca 1840.

An. Orłowskiemu moje ukłony.



Pierwsza strona rękopisu sonaty h-moll

PRZEGLĄD PRASY Z ZAGRANICY

Umarł Stanisław Szober, wybitny językoznawca, zasłużony krzewiciel poprawności językowej w szerokich kręgach społeczeństwa, profesor Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. W *Gazecie Polskiej* (z dn. 5 września) kreśli charakterystykę Zmarłego i ucieleśnienia jego i następcę na katedrze uniwersyteckiej, prof. Witold Doroszewski. Jedną z głównych prac naukowych Szobera jest *Zarys językoznawstwa ogólnego* (tom I) wydany w roku 1924; następnie nie ukazały się już). „Postawę autora w zakresie językoznawstwa ogólnego można byłoby określić jako psychologiczną, a więc terminem zawierającym treść co do której odzwierciedlają się głosy zastrzeżeń. Należy jednak zauważyć, że impuls „psychologiczny” nadany językoznawstwu naszemu przez Baudouina de Courtenay nie grozi takimi impasami jak pewne odmiany „sociologizmu”, że zmieniają a dosyć dziwną koleją losów idee Baudouina ożyły ostatnio ze znaczną siłą w różnych europejskich ośrodkach językoznawstwa i że wreszcie Szober już nie tylko jako uczony, ale i jako człowiek wielostronnie wrażliwy, widział i przeżywał mnogość i różnorodność związków między językiem a wszelkimi formami życia, więc uprzedzając etikietowanie byłoby krzywdzeniem go... Wielokrotnie wracał autor w myślach i pracach do zagadnienia stosunku między językiem a sposobem psychicznego, uczuciowego i intelektualnego reagowania człowieka na świat. O *Poglądzie na świat w odbiciu faktów językowych* pisał w *Roczniku Pedagogicznym* (w r. 1921), subtelna i interesująca analiza *Człowieka współczesnego w zwierciadle języka* dał w *Kulturze i Wychowaniu* (w r. 1933)“.

Sprawa organizacji kultury nie schodzi ze szpalat prasy codziennej i periodycznej. W jednym z poprzednich numerów przytoczyliśmy negatywny głos katolickiego *Prądu*. Obecnie przytoczymy, również godne uwagi, pozytywne zdanie *Myśli Polskiej* (nr 17): „Trudno być entuzjastą ingerencji jakiegokolwiek urzędu państwowego w dziedzinie tworzenia. *Stąd* przynus musi być wykluczony. Ale chyba nie na tym będzie polegać rola ośrodka dyspozytywnego. Akcja upowszechniania kultury, opieka nad twórcami tam, gdzie są zdani na łaskę i niełaskę *przedsiębiorcy i handlarza*, likwidowanie szkodliwej tandety, uprzedzenie dóbr kulturalnych szerokim masom przez obniżenie cen konsumpcji — oto postulaty, które nie mają nic wspólnego z przysmuszeniem i gwałtem sumień, mimo że większość ich należałoby przeprowadzić gwałtem“.

W tymże numerze *Myśli Polskiej* znajdujemy następujące uwagi o *Roczniku Literackim*: „Trudno żądać od autorów *Rocznika* absolutnej i nieomyślnej bezstronności i bezwzględnie sprawiedliwej oceny, jest to bowiem niemożliwe. Wolno natomiast wymagać, aby między poszczególne autorki nastąpiła względna przynajmniej koordynacja, bez czego cała publikacja staje się zplekiem indywidualnych poglądów i ocen, nie związanych ze sobą i, co gorzej, często całkowicie sprzecznych... *Rocznik* nie jest publikacją jednorazową, ma już pewne tradycje, musi więc zachowywać pewną ciągłość i konsekwencję w ferowaniu sądów. Tymczasem poszczególne działy zmieniają co rok autorów, którzy zajmują przeważnie odmienne stanowiska wobec tych samych zjawisk literackich. Wynik jest taki, że to co w roku ubiegłym było czarne, w bieżącym zostaje wybielone, a by w przyszłości ulec ponownemu oczernieniu. Taki *Rocznik* stanowi niezbędny element w pełnym intrygu, plotce i gry ambicji światku literackim, ale czytelnika właściwego raczej dezorientuje“.

W *Wiadomościach Literackich* z dn. 4 września Maria Kuncewiczowa ogłosiła swoje wrażenia z ostatniego kongresu PEN-Clubów, który odbył się w Pradze. Z wrażenia tych wynika dość wyraźnie, że ta międzynarodowa organizacja literacka nie odgrywa dziś poważniejszej roli kulturalnej i skazana jest zdaje się na sztyki urzędów. Sądząc ze sprawozdania Kuncewiczowej, nie narodziła się w czasie obrad kongresowych ani jedna żywa, elektryzująca myśl; skończyło się jak zazwyczaj na mało znaczących zebraniach komisyjnych, na bankietach i platonicznych, kompromisowo „uzgodnionych” deklaracjach humanitarnych. Obok tego należy jednak podkreślić inny moment, szczególnie wysunięty przez Kuncewiczową.

Sprawozdanie jej nosi znamienity tytuł: *Z powodu „świadków”*. Okazuje się, że o kongresie rozmaici anonimowi „świadkowie” wypisywali niestworzone brednie, oklamując w żywe oczy swych czytelników. Nie jest to na tle dzisiejszych obyczajów literackich w Polsce czymś dziwnym; przeciwnie, jest raczej rzeczą charakterystyczną i typową.

W „tygodniku młodej demokracji” *Orka na ugorze* odbyła się dyskusja na temat współczesnej poezji. Wywołał ją artykuł Czesława Miłosza (patrz w niniejszym nr *Pionu* artykuł Ignacego Fika), który referowaliśmy na tym miejscu; w dalszym ciągu zabierali głos pp. G. Herling-Grudziński, J. A. Król, J. Putrament, J. Maślinski (ten właściwie ogłosił swoje uwagi w *Kurjerze Wileńskim*, *Orka* przedkładała je). Dyskusja ta, niezmierznie chaotyczna i jałowa; jest bolesnym świadectwem, jak wielki zamęt pojęć panuje u nas obecnie, nawet w kręgach miłośników poezji. Jest to zapewne wynikiem sekularskiego charakteru współczesnych dyskusji literackich; nie mając potrzeby liczyć się ze słuchaczami, z czytelnikiem którego prawie nie ma, krytycy czy teoretycy mówią swoim językiem, co w sumie urasta do apokaliptycznej wieży Babel.

W drugim zeszycie tegorocznego kwartalnika *Verbum*, wydanym w początku lata, znajdujemy między innymi godną uwagę rozprawę Adama Stawarskiego *Ze studiów nad etyką współczesnego pozytywizmu*. Autor daje przegląd stanowisk moralnych takich myślicieli jak Durkheim, Schlick, Dewey, Westermarck i dochodzi do przekonania, że tezy ich nie dadzą się utrzymać. Wspólnym rysem pozytywistów jest niechęć do dogmatyzmu; odrzucają oni absolutne normy etyczne, w ogóle odmawiają wszelkim normom wartości obiektywnej, sprowadzając je do roli funkcji procesów społecznych i psycho-biologicznych. „Według zapatrywań pozytywistów moralnych najwyższe wartości życia ludzkiego dają się sprowadzić do gry ślepych instynktów i namiętności; mają one oczy zamknięte na tragizm i wzniosłość tkwiące w samych faktach życia, mają oczy zamknięte na świat obiektywnych wartości — na świat ducha“.

W tym samym numerze *Verbum* znajdujemy artykuł Jana Kota *Katolicyści sens dramatu Rimbauda* oraz szkic prof. Andrzeja Treliaka o współczesnym historyku angielskim Krzysztofie Dawsonie.

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. K. Truchanowskiego oświadczam, że twierdzenie moje, jakoby autor *Ulicy Wszystkich Świętych* nie czytał Schulza, oparte było na relacji ustnej, która wyszła z kół bliższych i żywcich osobie pisarza. Artykułu zamieszczonego w *Studiu* nie pamiętam, pozostaje mi więc tylko wyrazić ubolewanie i przeżycie się do błęd. Pisząc recenzję z *Antyki pod słońcem* wzięłam pod uwagę możliwość bardzo dla autora korzystną, lecz skoro twierdzi, że zna książki Schulza — tym gorzej dla niego. Teraz już wszystko jest jasne.

Łączę wyrazy szacunku

ALFRED LASZOWSKI

Wierbka, 2. IX. 1938 r.

KSIĄŻKI NADESLANE

ANTONI MADEJ: *Drzewo figowe*, poezje. Warszawa 1938. Biblioteka Zet.

JAN LESZCZYŃSKI: *Moja walka o nowy ład*. Poznań 1938.

INŻ. JULIAN PIASECKI: *O gospodarce planowej*. Warszawa 1938. Wyd. Obozu Zjednoczenia Narodowego. Biuro Studiów i Planowania OZN. Materiały i prace, zesz. 1.

Zagadnienie likwidacji analfabetyzmu w Polsce. Warszawa 1938. Wyd. Obozu Zjednoczenia Narodowego. Biuro Studiów i Planowania OZN. Materiały i prace, zesz. 2.

RAFAL LEN: *Ludzie na schodach*, powieść. Warszawa 1938. Wyd. M. Fruchtmanna.

TADEUSZ SZULC: *Artystyczne idee radiowe i ich geneza*. Warszawa 1938.

FRANCISZEK SZYMCIK: *Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914 — 1920*. Z 3 mapami. Katowice 1938. Wyd. Instytutu Śląskiego. Pamiętnik Instytutu Śląskiego tom IX. Skład gł.: Nasza Księgarnia, Warszawa.

Ukazały się ostatnio *Poems* F. T. Prince'a. Jest to pierwszy tom nowego poety angielskiego, jednego z najwybitniejszych. Poezje Prince'a ukazywały się w *Criterion* (kwartalniku T.S. Eliota) i innych czasopiśmiech literackich.

Pojawiła się nowa rzecz o Blake'u — Milтона Q. Percivala *William Blake's Circle of Destiny*. Percival interpretuje poezję Blake'a od strony jej momentów proroczy. Czytelnikom polskim twórczość genialnego Blake'a — poety, który żył przed Byronem, a zawarł w sobie elementy wielu po nim powstających i rozszerzających się epok poetyckich, do awangardy włącznie, a może awangardę nowoczesną najpełniej i najistotniej; może dopiero epoka fantastyki awangardowej dojrzała do pełnego zrozumienia i wchłonięcia sztuki poprzedzającego ją w czasie o lat niemal dwieście poety — znana jest z kilku wierszy, przełożonych przez Jana Kasprowicza i Józefa Czechowicza. Przekłady Kasprowicza są niezbyt udane — może zadykcjowała tu obcość psychiki i młot artystycznego, stylu, bo przecież byłaby sprawny niekiedy tłumaczem niektórych innych poetów angielskich — blade, i słabe dają pojęcie o Blake'u; kongenialne przekłady Czechowicza ukazują poezję Blake'a w pełni jej krasy i perspektyw (miłośnicy pięknej poezji

pamiętają je z *Drogi*, w której się ukazywały). Czy nie należałoby naklonić Czechowicza do wydania tych i innych jego sporadycznie pojawiających się przekładów (o bok Blake'a Eliot, Rimbaud, Apollinaire, Whitman, Neval, Tytaczyna, Olżycy i in.) w oddzielnym tomie?

We włoskim tygodniku literackim *Meridiano di Roma* znajdujemy listy d'Annunzia (i jeden telegram) do kompozytora muzycznego Alfreda Caselli. Listy te pisał d'Annunzio w latach 1923—1934.

W paryskim Musée Guimet odbywa się wystawa dawnej sztuki plastyecznej Afganistanu i Indochin.

Paryskie muzeum Cernuschi urządziło wystawę sztuki chińskiej.

Nakładem wydawnictwa Ottona Müllera (Salzburg-Lipsk) ukazuje się trzecie wydanie kompletne poezji Trakla — *Dichtung*.

Iwan Olbracht wydaje nową książkę — *Bratr Zak (Brat Zak)*. Jest to nowela z życia komediantów.

Wkrótce pojawić się ma w druku rzecz Johna Drinkwatera wyjeta z jego teki pośmiertnej — *English Poetry: An Unfinished Survey*.

LIST OTWARTY W SPRAWIE MŁODEGO PISARZA KATOLICKIEGO

Oto fakt, któremu trzeba nadać właściwą jego wymowę — wymowę wrzutu sumienia.

Młody katolicki poeta, prozaik, dramaturg, jeden ze stałych i najdawniejszych współpracowników *Kultury*, od kilku już tygodni z daleko posuniętą gruźlicą leży w szpitalu, nie mając nadziei, by dla uratowania życia wysłano go do sanatorium.

Apelują tą drogą do Związku Pisarzy Katolickich, który, aczkolwiek zdjęty podobną drzemką, może jednak w tym wypadku zbudzić się na interwencję.

Apeluje wreszcie do tej instytucji katolickiej, w której młody ów pisarz „praktykował”, oddając przez pół roku za darmo swą pracę i swe siły.

Fakt ten, sam w sobie dostatecznie rozpaczliwy, otwiera tym posępniejszą perspektywę, że jest właściwie *symptodem*. W takiej bowiem organizacji katolickiego życia kulturalnego, jaka ma u nas obecnie miejsce, fakty tego rodzaju muszą się mnożyć i muszą budzić żywy niepokój. Dlatego właśnie czas zawałać o zdanie sobie sprawy z właściwego stanu rzeczy.

W organizacji katolickiego życia kulturalnego, która zależy od duchowieństwa, obserwujemy absolutny brak jakiegokolwiek inicjatywy świeckiej. A inicjatywa taka jest właśnie potrzebna. Duchowieństwo, absorbując uwagę na piśmiennictwie religijnym, w którego rozwoju samo zresztą bierze czynny udział, jest raczej obce literaturze (przykładem niech będzie fakt, że nie mamy żadnego księdza-literata) i nie może z tego względu mieć właściwego wyczucia dla jej spraw i jej potrzeb. Do niedawna w tym względzie było źle. Ostatnie postanowienia Synodu wskazują już co prawda na pewną zmianę. Zaczyna się mianowicie doceniać znaczenie literatury w walce o ideały i w formowaniu się życia katolickiego. Zaczyna się też żądać od pisarzy katolickich, by stanęli na pierwszej linii frontu.

Ale to, niestety, wszystko.

Poprzestaje się na żądaniu, a nie myśli się, by coś dać. Fakt, że w ciągu dwudziestu lat istnienia Odrodzonej Polski nie pomyślano nawet o katolickiej nagrodzie literackiej — jest doprawdy zasmucający i zawstydzający.

Tutaj właśnie może przyjąć w porę inicjatywa świecka. Tak samo zresztą, jak przy pewnych praktycznych momentach organizacji naszego życia kulturalnego. Zdarza się bowiem często, że na skutek braku jakiegos czynnika inicjatywy ze strony świeckich, obsadza się w różnych instytucjach te wszystkie stanowiska, na których powinien znaleźć się literat, przez osoby najczęściej sprawom literatury najzwyklej obce. Wiadomo powszechnie, że w Polsce

nie można żyć z pisania, więc fakty te, gdy mowa o literatach, a tym bardziej literatach katolickich, mają swoje znaczenie. A jeszcze dochodzą do tego inne, bardziej zasadnicze względy. W wyniku takiego bowiem obrotu rzeczy, który, trzeba to stwierdzić wyraźnie, godzi w literatów i literaturę — katolicka literatura nie może u nas zająć właściwej pozycji, a katolicki ruch kulturalny bywa przez gaffy niekompetentnych czynników niejednokrotnie ośmieszany.

Nad tym należy się wreszcie zastanowić. Bo jeżeli chodzi o położenie katolickiego pisarza, to ten stan rzeczy specjalnie bolesnie dotyka zwłaszcza młodych, którzy dopiero wchodzi w życie, a napotykają jedynie na przeszkodę, hamujące ich rozwój. Można z goryczą stwierdzić, że gdyby byli komunistami, gdyby byli sługami partii, znaleźliby poparcie od razu, ale są właśnie pisarzami katolickimi i poparcia tego nie otrzymują. Nie mówiąc już o stypendiach literackich (jakże mówić, skoro nie ma w ogóle nagrody?), nie ma dla nich posad w tych instytucjach, gdzie by byli pracownikami kompetentnymi i pożytecznymi. A to byłoby właśnie *poparcie* umożliwiające im pracę i dające warunki rozwoju.

Jaki tego skutek? — Oto młodzi są zmuszeni koniecznością życiową albo do przejścia na obce ideałom katolickim tereny, gdzie dają im środki do życia, a więc dostają się w atmosferę, w której mimo woli nie raz stają się ostepcami, albo też przybici życiem w między idą do szpitala dogorywać na gruźlicę. Taki właśnie brak myśli o młodych i taka nieogledna wobec nich polityka sprawiła, że po dwudziestu latach niepodległości pisarzy katolickich w katolickiej Polsce policheć można na palcach, a sam stan literatury katolickiej jest, niestety, więcej niż mizerny.

Wierzę, że głos mój będzie głosem wszystkich młodych pisarzy katolickich. Dlatego, podejmując protest przeciwko takiemu stanowi rzeczy, rzucam myśl zawiązania Zrzeszenia Młodych Literatów Katolickich, jako właśnie czynnika inicjatywy świeckiej w sprawach literatury. Potrzeba takiego zrzeszenia jest tym większa, że z jednej strony dawny Związek Pisarzy Katolickich istnieje jak gdyby nominalnie tylko, a z drugiej strony jedynie zrzeszenie młodych, inaczej widzące niewesoły stan rzeczywistości katolickiego życia kulturalnego, będzie mogło przyjąć z pomocą sferom kierowniczym we właściwej inicjatywie i będzie także mogło walczyć o prawa do godziwych warunków życia dla literata katolickiego.

Dlatego oczekuję odpowiedzi na wezwanie: młodzi pisarze katolicy, łączmy się!

HIERONIM MICHALSKI

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł.; za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w teście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kolonicki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński